Rok II. Kraków, dnia 5 Lipca 1883 r. Nr. 13.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

Z CZESKIEJ LIRYKI.

Do Krakowa w roku 1863
(B. Jablonsky).

Ciągle w smutku miasto drogie
Dla każdego, kto Polakiem.
Gdzież są, gdzie te czasy błogie,
Gdzie ta twarz, z wesela znakiem?

Gdzie są dawne twe zabawy?
Gdzie te huczne twoje pienia?
Ach, otulił je mrok krwawy,
Odpędziły śmierci tchnienia.

Miasto sławne, miasto drogie
Każdej wiernej polskiej duszy!
Czy też przyjdą chwile błogie,
Które we śnie duch twój tuszy.

Kiedyż zdejmiesz wdowie szaty,
Wdziejesz na się barwy krasne,
Tak wspaniałe, jako kwiaty,
Modre tak, jak niebo jasne.

Kiedyż po tej strasznej dobie
Zamiast smutnych ciągle tonów
Będą się rozlegać w tobie
Hymny szczęścia, dźwięki dzwonów!

tłom. S. F. Kr..szewski.

Z „Vecernych pisni"
(V. Halek).

Kto w złote struny zagrać umie,
Uczcijcie go jak trzeba,
Bo tak was Pan Bóg umiłował,
Że posłał wam go z nieba.

Strasznie, gdy Bóg zarazą karze.
Lub zsyła potop deszczów;
Lecz z wszystkich kar ta najstraszniejsza,
Gdy naród niema wieszczów.

Ten naród jeszcze nie zaginął,
Dopóki wieszcz mu śpiewa,
Bo pieśń, co z nieba ród swój bierze,
W śmierć samą życie wlewa.

tłom S. F. Kraszewski.

KRONIKA.

Jakiś pan Kopp czy Klopp, w każdym razie głupi chłop, porobił nowe odkrycia w dziejach wiktorji wiedeńskiej. Dzienniki nasze są niemi oburzone i ogromnie się odgrażają. Gdyby p. Klopp umiał po polsku, umarłby już ze samego strachu, słysząc co się o nim pisze i mówi. Wasz kronikarz, szanowni czytelnicy, nie podziela tego oburzenia, boć przecież głupcy choć ich nie sieją zawsze się rodzą, im też żyć potrzeba jak i innym, a raz już szeroko rozpowiadałem coby to było, gdyby sami mądrzy ludzie przechadzali się po linji A—B lub po Opernringu wiedeńskim. Nudy byłyby tak wielkie, że musiałby chyba radca Rzewuski jeszcze jeden projekt placu Mickiewicza wynaleźć, aby ludzkość nie wymarła na «uwiąd wesołości.»

Odkrycia p. Kloppa zaczynają się na serjo przyjmować w «Neue freie Presse,» co nas może tylko cieszyć, gdyż ogłupienie nieprzyjaciół naszych zawsze nam wychodziło na zdrowie. Nietylko zresztą «N. fr. Presse» cierpi na zatkanie naczyń prawdy historycznej, ale nawet autorzy podręczników «historji kraju rodzinnego.» W jednym z nich np. znalazłem następujący ustęp: «W roku 1683 cesarz Leopold dozwolił Turkom przyjść pod Wiedeń, nie kazał ich jednak puszczać do bram miasta w obawie, aby główna wygrana loterji wiedeńskiej (Effecten Lotterie) nie dostała się któremu z niewiernych. Polska intryga, (która już wówczas potężną rolę odgrywała) doprowadziła Turków do jawnych oznak nieposłuszeństwa. Cesarz Leopold rozkazał ich wówczas rozegnać, a ponieważ w Wiedniu stały tylko dwa pułki landwery (z orkiestrą pod dyrekcją kapelmistrza Kloppa) polecił ówczesnemu namiestnikowi galicyjskiemu hrabiemu Janowi Sobieskiemu, aby przybył z pomocą wojskową. Galicja wówczas składała część tak zwanej Polski, państwa lennego austrjackiego. Sobieski przyszedł, ale już za późno, gdyż hr. Stahremberg sam dał sobie radę i pozwolił tylko galicjanom dokończyć zwycięztwa. Potęga turecka złamaną została, w skutek czego Węgry zostały ujarzmione, a wycieńczone na utarczkach galicyjskie rycerstwo powróciło do domu w nieładzie. Odtąd Turcja upadła, podniosła się Moskwa, a Polska już nie mogła nowego stworzyć rycerstwa i dzięki tym okolicznościom galicjanie w sto lat później z lenności przeszli w poddaństwo. Wypadek ten przyspieszyła klęska Turków pod Wiedniem, ztąd też wdzięczni temu zwycięstwu za zlanie się z monarchją, obchodzą teraz Galicjanie uroczyście obchód klęski tureckiej, bez której do dziś dnia możeby nie opłacali dodatków od podatków i nie brali udziału w loterji liczbowej.»

Nie będę rozbierał tej elukubracji, choć pod pewnym względem nie jest ona tak głupią jak się wydaje. Kiedy jednak mowa o Sobieskim, muszę zanotować wpływ jego rocznicy na perfumerję i kosmetyki krajowe. Oto wynalazca «Wijolinow», «Amandin,» «Apsein,» Acelin,» «Brezilin,» Okselin» etc.

Ostatnie wiązanie.

NOWELLA

przez

LUDWIKA KOZŁOWSKIEGO.

Ciąg dalszy.

Przestraszona Marysia rzuciła się na ratunek pani... Nalała szklankę wody i nieprzytomnie szukała w baterji flaszek aptecznych jakiegoś lekarstwa.....

— To nie, to nie, moje dziecko — rzekła jednak wkrótce staruszka uspokojona już nieco... Daj mi tylko do tej wody kilka kropel laurowych... Ot tam, ta ciemna mała flaszeczka... To nic... Niepotrzebnie śpiewałam... serce mi bije silnie... Ach, to biedne, stare serce moje!..

Po zażyciu żądanych kropel, chora uspokoiła się, jak się zdawało zupełnie, chociaż trupia bladość nie znikała z jej twarzy, co ciągle jeszcze przestraszało biedną Marysię...

— Jak ja żałuję — ubolewała dziewczynka klęcząc przy swej pani — jak ja bardzo, bardzo żałuję, żem była taka głupia i prosiłam paniusię o śpiewanie!.. Ale pannuncia tak ślicznie śpiewa, tak ślicznie, że dalibóg, ładniej nawet od kanarka, którego ma w klatce Maciejowa, w sklepiku na dole...

Staruszka znów się uśmiechnęła smutnie, a po chwili milczenia rzekła...

— Czy to jutro niedziela?.. A tak!.. Jutro więc dzień moich urodzin... Jutro rozpoczynam siedemdziesiąty trzeci rok życia, moja Marysiu... Siedemdziesiąt dwa dziś kończę!.. Mój Boże!.. Jaki to radosny był kiedyś dzień ten dla mnie, dla mojej rodziny!.. Ile otrzymywałam w tym dniu powinszowań, podarunków!.. Bywało — ledwie oczy przetrę rankiem—już z radosnemi okrzykami wchodzą do mojego pokoiku ojciec, siostra, brat, a każde z nich ściska mię, całuje... każde prosi, bym przyjęła wiązanie bogate... W tym dniu, pamiętam — zawsze chodziłam do kościoła i śpiewałam na chórze przy organach, a ludzie tak słuchali, tak się zachwycali!..

Marysia wlepiła szeroko modre swe oczęta w twarz pani i słuchała ciekawie, pilnie, aby żadnego nie uronić słowa... Ale, gdy staruszka zamikła na chwilę, wzięła górę w młodem dziewczęciu natura dziecka, bo myśl jej zatrzymywała się mimowolnie nie na czem innem tylko na dociekaniu upartem, co to za śliczności musiały być te wiązania, które naonczas panniusia od swego bogatego ojca, siostry i brata dostawała... Co to musiały być za cudności niesłychane!..

Nie wytrzymała więc dziewczynka i korzystając z chwilowej przerwy w opowiadaniu, rzuciła nieśmiało pytanie:

— Panniusiu droga! A czy ładne były te wiązania, które panniusi wtenczas darowywano?.. Musiało to być samo złoto i dyamenty?..

— A tak, moje dziecko!.. Po większej części były to złote i kosztowne rzeczy... Ale ja byłam wówczas taka rozpieszczona, że one mi nie sprawiały zbyt wielkiej przyjemności... Szło mi bardziej o to, jakiem sercem ofiarują mi te podarki... I czy uwierzysz Marysiu, że ze wszystkich wiązań wspaniałych, któremi w tym dniu obdarzano mię rok-rocznie, największą mi sprawiało przyjemność, o której dzisiaj jeszcze, po tylu, tylu już latach zapomnieć nie mogę, wiązanie bardzo skromne, niekosztowne, ale jak miłe dla siedemnastoletniej panienki!.. Bo trzeba ci wiedzieć, że byłam wówczas prześlicznem siedemnastoletniem dziewczęciem, tylko co powróconem z pensji...

— Cóż to było za wiązanie i od kogo?.. przerwała niecierpliwa w swej ciekawości Marysia..

— Był to — bardzo zwykły biały, wyplatany koszyczek okrągły z nakrywką, ot podobny do tego, co tam stoi na komodzie, tylko nowiuteńki napełniony cukierkami i przewiązany różową, wąziutką wstążeczką jedwabną... W dniu moich urodzin, obudziwszy się rano, znalazłam go na stoliku przy łóżku i... i zaraz domyślałam się kto mi go przysłał...

— Któż to, kto, panniusiu?..

— O, — zanadto ciekawa jesteś, moje dziecko!.. Zaraz jej mówić kto?.. Cóż ci przyjdzie z tego, gdy powiem?.. Oto mój... krewny daleki, który był wówczas porucznikiem od ułanów... a potem... No, — potem — zginął na wojnie, jak wielu innych...

Po tych słowach, staruszka westchnęła i zamilkła tym razem na dłużej, pogrążywszy się w głębokiej zadumie, śród której zdawało się ciekawej Marysi, że zanuciła raz ledwie dosłyszalnym ćwierć głosem niewyraźny motyw śpiewanej przed kwadransem piosenki:

«Już się trąby odezwały,
«Do attaku dobosz bije...»

Lecz Marysia musiała się omylić co do nuty, bo po chwili przysięgłaby że nie ową piosenkę, lecz podobniejszem nierównie

---

słowem pan Ihnatowicz pod wrażeniem obchodu wynalazł pomadę na wąsy «Sobiesciana» i perfumy «królowej Marysieńki.» Ten ostatni wynalazek (perfumy, nie «królowa Marysieńka») odznacza się nadzwyczajnie przyjemnym, miłym i długo trwałym zapachem, jak nas zapewniają cenniki. Niezadługo a dr. Miłkowski wyda na pamiątkę jubileuszu nowennę do św. Ildefonsa, a pan Himelblau «nowy sennik egipski znaleziony w namiocie Kara Mustafy pod Wiedniem.» Radca Rzewuski «z powodu 200 letniego obchodu Sobieskiego,» będzie «fotografował jak dawniej osobiście,» a pani Iwanicka z tejże samej przyczyny zawiadomi publiczność, że u pana Niemetza nie dostanie prawdziwych amerykańskich maszyn do szycia. Słyszałem także, że pewien organ miejscowy ma z powodu tej uroczystości zawiesić wydawnictwo, zwłaszcza, że polityka węgierska stoi w sprzeczności z tym obchodem. Dla tej również a nie innej przyczyny magistrat wylewanie asfaltem linji A—B postanowił przedłużyć do 12go Września.

Obchodowi jednak jubileuszu Sobieskiego zagraża rzecz daleko ważniejsza niż asfalt i sennik p. Himelblaua, a jest nią cholera podniesiona już i rozważona należycie w artykule wstępnym «Nowej Reformy». Gość ten mógłby nam przerwać wszelkie uroczystości i wcale niemile uwiecznić dwuwiekowy jubileusz. Magistrat krakowski myśli już nad środkami ostrożności i ma wydać spis ich do powszechnego użytku. Pozwolę sobie zdradzić tajemnicę urzędową i podać w całości 14-sty paragraf tej cholerycznej ustawy:

«Dobry sen i dobry humor są najpożądańsze. Jeżeli ktoś z mieszkańców nie posiada ich z natury, komissja lekarska radzi następujące środki:

«Na sen poleca się odczytywanie Czasu i Nowej Reformy, wszakże w dozach nie większych nad 3 szpalty dziennie. Środek to niezawodny i prędko działający.

«Dobry humor zaprenumerować sobie można za 1 złr. 50 c. kwartalnie zapisując się do grona abonentów «Przeglądu literackiego i artystycznego.» Warunek nieodzowny: nie pożyczanie nikomu «Przeglądu» do czytania, porcja bowiem tylko na jedną osobę wystarcza, zresztą do papieru łatwo się może przyczepić zarazek choleryczny.»

Ta ostatnia uwaga jest całkiem na miejscu, widzimy bowiem na «Czasie» do czego może doprowadzić zaraza papierowa. Jak się «Czas» zaraził przed laty «staniem» i «stać chceniem» tak już dziś wyśliznąć się nie może. Było to początkowo jego programem, potem stało się godłem, to jest właściwie godłem programu, czyli jaśniej mówiąc programem godła. A jak program bez godła nie jest programem, tak znowu godło bez programu nie jest godłem. Zwłaszcza, że programowe godło narażone jest na pociski «katylinarnych exystencyj,» co znowu nam wyraźnie mówi, że program nie jest godłem «Czasu» tylko kraju, a właściwie nie kraju, lecz sejmu, czyli że:

Czy ryba czy rak
Kandyba durak,

było do marsza pogrzebowego, który Marysia słyszy często, gdy kogoś na cmentarz z paradą i muzyką prowadzą...

Gdy staruszka siedziała tak w zadumaniu, z napół przymkniętemi oczami, Marysi tymczasem po pewnej chwili zabłysła snać jakaś myśl w głowie, bo twarz jej ożywiła się, oczy zabłysły i dziewczę zbliżyło się na palcach do komody, gdzie stał stary koszyczek z jakąś robótką... Marysia oglądała ten koszyczek bardzo długo, pilnie i wszechstronnie... Gdy zaś go postawiła na miejscu, sięgnęła do kieszeni i wydobyła z niej woreczek z trochą srebrnej i miedzianej monety drobnej, którą liczyć zaczęła... A potem, zadowolniona snać z obrachunku swych długo ciułanych skarbów, pochodzących w części od «pannusi,» w części od starego poczciwego doktora, który chorą czasami nawiedzał, z rozjaśnioną twarzą, na której malowało się jakieś postanowienie stanowcze, zaczęła się krzątać niecierpliwie po izbie, zwłaszcza zaś w okolicy piecyka, gdzie się gotował klejek...

Nareszcie zdecydowała się przerwać panujące oddawna milczenie...

— Pannusiu — rzekła — możebyśmy już zjedli kolacją?....

— A dobrze, moja Marysiu — odpowiedziała ocucoaa nagle z zadumy staruszka... Ja bo apetytu dziś nie mam, ale tobie czas już posilić się — o czas!..

Marysia sprzątnęła ze stolika flaszeczki i pudełka apteczne, stolik nakryła serwetą, postawiła na nim talerz, położyła starą wytartą i cienką łyżkę srebrną i kawałek bułki... Następnie zaś wylała z garnka do talerza część klejku, a sama usiadła ze swoją cząstką w kącie koło piecyka, w mimowolnem uznaniu podziałów hierarchiczno-społecznych, niepozwalających, aby sługa jadła za jednym stołem z panią...

Staruszka przeżegnała się, złożyła ręce i zmówiła modlitwę, poczem zaczęła jeść od niechcenia, jak gdyby tylko dla formy... Za to Marysia z niesłychanym apetytem zmiatała swą cząstkę zupy wprost z garnuszka, przejadając ją chlebem...

Po skończonej kolacji, Marysia zajęła się posłaniem łóżka dla swej pani... Przyczem ochocza zazwyczaj do rozmowy dziewczyna, okazywała widoczną niecierpliwość, gdy staruszka zaczęła znów opowiadania... Była to sobota, dziewczyna więc według przyjętego w ich ubogiem gospodarstwie zwyczaju, powinna była dziś jeszcze pójść do miasta, aby zakupić na jutro świąteczną prowizją... Ale nie to niepokoiło w tej chwili Marysię... Ułożyła ona sobie jakiś plan, dla uskutecznienia którego potrzebowała wyjść do miasta na dłużej nieco. Korcił ją ten plan, palił jej mózg, podbudzał krew w żyłach do szybszego krążenia i rozgorączkował tak, że pragnęłaby w jednej chwili znaleźć się już na ulicy i dalej — w tych sklepach, w których zapomocą chowanego dotychczas w zaklętym woreczku grosza, marzenia rozkwitłe nagle w gorącej główce dziewczęcia miały się zamienić w fakt, przybrać konkretne i dotykalne kształty.,.

Ale staruszka, jak na przekor, rozgadała się na dobre.. Zaczęła po raz setny opowiadać rzeczy dobrze już znane Marysi, umiane nieledwie na pamięć, dodając do nich nowe waryanty ze wspomnień o szczęśliwych, świetnych i pełnych uroku czasach swej młodości... Te wspomnienia czarodziejskie tak ożywiły starą dziewicę, że opowiadając, to śmiała się, to płakała a wciąż mówiła, mówiła i mówiła...

(Ciąg dalszy nastąpi).

ORANGUTANGI.

Bajka.

(„Les orangs-outangs").

Jeźli wierzyć słowom starego Ezopa,
To w starożytności miała Europa
Rzecz szczególną bardzo: małpią ambasadę.
Jako sprawozdawca, na to nacisk kładę,
Że rzecz miała miejsce w tych czasach odległych,
Gdy orangutangom znaną była mowa,
Więc — rzecz prosta — mieli swoich mowców biegłych;
Owóż — jeden z takich ozwał się w te słowa:
„Panowie! Przesławne małpie nasze plemię
„Na niezmierną krzywdę swoją się tu żali:
„Ludzie, odkąd tylko zamieszkują ziemię,
„Nas, orangutangow, zawsze małpowali!

„Że to, co wyrzekłem, nie są me wymysły, —
„Historya dowodzi w sposób dosyć ścisły...
„Patrzmy: gdzie jest człowiek w swych pierwotnych czasach?..
„Szuka on schronienia w tychże, co my, lasach!..
„Cóż tam czynią owe, dziś tak pyszne, duchy?..
„Oto małpie życie najuważniej śledzą
„I ze stołów małpich zbierają okruchy!..
„Jemy któryś owoc — oni go też jedzą...
„Chodzim na dwóch nogach, — oni w wielkim trudzie,
„Wziąwszy pałki, także z czworaków powstali —

Czy rak czy ryba
Durak Kandyba,
Czy siak czy tak
Kandyba durak.
Co można na dzisiejsze przetłomaczyć:
Czy program czy godło
Zawsze głupie siodło,
Na godle czy na programie
Zawsze kark się w końcu złamie.

Pocieszającem jest tylko to, że sprzeczka o «program i godło» między starym Czasem a młodą Reformą skończyła się na... kanapie. Czas pomimo, że chce «stać», oświadczył, że lepiej siedzieć, aniżeli wisieć. Ma spryt jegomość! Od tak długiego stania nogi go już muszą boleć i chciałby usiąść, ale nikt go siedzieć nie prosi. Obawiam się czy go w końcu nie «położą» i nie wsypią kilkanaście dębowych godeł programu. Byłby to smutny koniec wesołego początku, ale już to lepsze, zwłaszcza na kanapie, niż «wiszenie w powietrzu.» Bo żeby to na szyi ładnej dziewczyny, to całkiem co innego! Ale Czas już na to za stary, a Reforma panna — chyba więc Przegląd dostąpi tego szczęścia. Co oby się stało!!

K. B.

ECHA.

Kursa malarstwa i rzeźby urządzone dla kobiet przy Muzeum przemysłowem Dra Baranieckiego, rozwijają się pomyślnie. Na ostatniej wystawie prac młodych uczennic widzieliśmy tego dowody.

Dział malarstwa pozostaje od długiego czasu pod kierownictwem p. Lipińskiego, rysunków zaś pod kierunkiem p. Bierkowskiej. Spotykamy się tu z kilkunastu adeptkami sztuki, pomiędzy któremi wyróżniają się prace rysunkowe pp. Wiśniowskiej, Paluszyńskiej i Romańskiej, oraz studja malarskie pp. Goeblównej, Walewskiej i Maurizio.

Dział rzeźby zostawał do niedawna pod kierunkiem tak wybitnego rzeźbiarza, jak nieodżałowanej pamięci St. Lipiński. Dziś dział ten prowadzi umiejętnie p. M. Gujski. Już w zeszłym roku wskazywaliśmy na znaczny talent p. Rożniatowskiej, który coraz bardziej się rozwija. Obok niej w tym roku stanęła p. Certowiczówna, której «Ofelja» wiele każe się spodziewać.

Słyszeliśmy, iż mistrz Matejko oglądając prace wystawione w Muzeum wyraził swoje zadowolenie, co powinno być dla młodych i utalentowanych pracownic najlepszą nagrodą i zachętą.

Tegoroczne «wianki,» pomijając długie pauzy między pojedyńczemi punktami programu, zasługują na zupełne uznanie. Od kilku lat domagaliśmy się za pomocą miejscowych i zamiejscowych organów prassy, aby uroczystości tej nadać charakter swojski i właściwy, a nie zamieniać jej w zwykły «festyn» na wodzie, jakich w Niemczech na setki spotykać można. Z'ad cieszymy się widząc, iż komitet przyszedł do tegoż samego przekonania. Mieliśmy więc w tym

„I podnieśli głowy... jasno tedy: ludzie
„Nas, orangutangów, zawsze małpowali!..

„Idźmy dalej: znów człek małpy podpatruje
„I gdzie tylko może, wszędy naśladuje:
„Na nasz wzór wyrobił grzbiet swój, tak dziś giętki,
„Od nas przejął zbytnie do miłostek chętki...
„I w tym względzie — nawet trochę nas przesadził,
„A szczególnie jego samki białolice,
„Tak, że tu nawiasem jabym mu poradził,
„Poznać głębiej nasze poczciwe samice...
„Wreszcie — czem Dyogenes wsławia się w swej budzie?..
„Tem, że wzór cynizmu myśmy mu podali!..
„Słowem — rzecz jest pewna, że od wieków ludzie
„Nas orangutangów zawsze małpowali!..

„Zapał mię tak uniósł, że w mej mowy wątku
„Chronologicznegom zapomniał porządku. —
„Wracam więc dawniejsze zacytować rysy:
„Zkąd wziął tedy człowiek wzór na włócznie, spisy,
„Na swe rozmaite pałki, halebardy?..
„Zkąd naukę powziął, jak prowadzić boje,
„Stawiać w szyki armje, straże, awangardy?..
„Od nas!.. Myśmy jeszcze przed zburzeniem Troi,
„Mieli wielkich wodzów, którzy naszę plemię,
„Armii naszej dzielność poznać światu dali!..
„Ludzie tedy, odkąd zamieszkują ziemię,
„Nas, orangutangów, zawsze małpowali!..

„Od nas — tak — powtarzam — przejął człek spokojny
„Strategiczną sztukę i swą chęć do wojny!..
„Od nas to przejęte wielkie pięści prawo,
„Którem dziś się rządzi człowiek z taką sławą,
„Z tak pomyślnym skutkiem, że pięść wykonywa
„Wszystko!.. Zapytuję tedy: jakiem czołem
„Ten sam człowiek, owa kopia małpy żywa,
„Chce świat dzisiaj toczyć tak chymernym kołem,
„By sam był na szczycie — małpa zaś na spodzie?
„By my, prototypy, kopiom ulegali?..
„Widzą Bogi — wyższość jest przy naszym rodzie,
„Bowiem ludzie zawsze małpy małpowali!..“

Skończył mowca... W niebo wzniósł wrok błagający...
Ale Jowisz, który wysłuchał niechcący,
Całą mowę — rzekł mu: „Wcale nieźle gadasz
„I — przyznaję Waści — prawdę opowiadasz...
„Ale wiedz kochanku, że nie lubią bogi
„Fakt spełniony zmieniać; to już rzecz przyjęta!...
„Tożby mi tu zaraz obijali progi
„Wieprze, wilki, lisy i inne zwierzęta,
„Skarżąc się, że człowiek wziął i ich zwyczaje!..
„Małpi ród niech milczy, by ładu nie psować!..
„Człowiek mi pochlebia: więc mu oto daję
„Prawo, by na wieki małpy mógł małpować...“

Z Berangera, **L. Kozłowski**

RODZINA BARDY.

NOWELLA

Maurycego Jokaja tłom. z oryginału L. Majewski.

Ciąg dalszy.

Z całej rodziny zostały tylko kobiéty i dzieci.

W tej chwili kiedy najezdnicy wpadli do pałacu, zaprowadziła je na strych wdowa w żałobie, zostawiając drzwi otworem, żeby mężczyźni zmuszeni do odwrotu łatwe znaleźli schronienie.

Tam czekali słabsi członkowie rodziny wyniku walki, słuchając z drżeniem odgłosu wrzawy wojennej i domyślając się z niej złego lub pomyślnego rozstrzygnięcia sprawy.

W końcu umilkły krzyki. Ucichł hałas najezdników. Ukryci na strych umyśleli, że odpędzono Wołochów i z radością wyczekiwali przybycia braci.

Ci byli już na tamtym świecie.

W końcu dały się słyszeć na schodach do strychu ciężkie kroki.

—To chód Barabasza! krzyknęła wdowa z radością, a trzymając w rękach obydwa pistolety pobiegła ku drzwiom strychu.

Zamiast oczekiwanego brata ukazała się przed nią postać upojonego krwią Wołocha, ze zwycięzką twarzą.

Z rozdzierającym krzykiem odskoczyła wdowa od wchodu z rozpaczliwą odwagą wymierzyła pistolet do tego człowieka i wypaliła w serce, tak że się przewrócił natychmiast i upadł na głowy cisnących się za nim towarzyszy.

Drugim strzałem uwolniła siebie od naigrawań tłuszczy.....

Teraz uchodźmy z tego miejsca. Co się tu działo potem powinno być ukrytem przed ludzkiem okiem.

Wymordowano dzieci i kobiety sromotnie wyszukanemi mękami, a trupy ich powyrzucano przez to okno, z którego Barabasz zrzucał bryły żelaza na głowy napastników.

---

roku bardzo wiele wianków puszczanych przez wiejskie dziewczyny, galary oświetlone z chórami męzkiemi i żeńskiemi, zrekrutowanemi z wieśniaków okolicznych, mieliśmy dalej apoteozę Sobieskiego bardzo malowniczą, a w końcu jak zwykle krążył dumnie oświecony galar Towarzystwa muzycznego, z którego rozchodziły się śpiewy chóralne i wdzięków orkiestry. Wszystko to miało cechę wianków i nie zamieniało uroczystości ludowej w jakś dziwaczną i bezmyślną zabawkę.

Życzyć sobie przeto tylko należy, aby tęn właściwy charakter «wianków» utrzymano i na przyszłe lata i podziękować zarazem tegorocznemu komitetowi za szczęśliwy zwrot jaki uczynił.

Smutną dzielimy się wiadomością: «Opuszczona Lipińskiego, którą chciano uratować dla ojczystej sztuki już nie istnieje. Donoszą nam z Paryża, iż znakomita ta rzeźba wykonana w gipsie i zastawiona przez artystę w Paryżu, stała długo w sieni czy na podwórzu, aż działaniem powietrza i brakiem opieki zepsuła się częściowo. Osobistość, u której «Opuszczona» była w zastawie, nie wahała się zwołać znawców przez sąd wydelegowanych, którzy ze względu na liczne uszkodzenia przyznali jej wartość gipsu. Rezultatem tego było zupełne zniszczenie dzieła sztuki.

I stało się to w Paryżu w wieku XIX. Gdyby u nas coś podobnego się zdarzyło, ileż byłoby narzekań na nasze barbarzyństwo, lekceważenie sztuki, brak cywilizacji. Barbarzyniec paryzki tych zarzutów nie usłyszy..

Staraniem Towarzystwa oświaty ludowej utrzymane zostały na Kaźmierzu prywatne wykłady nauki języka polskiego dla dorosłych izraelitów.

W zeszłym tygodniu w obecności kuratora Dra Warszauera i członków komitetu Towarzystwa Oświaty pp. K. Bartoszewicza, Dra Dadleza i I. Żółtowskiego, oraz grona nauczycielskiego, odbył się rodzaj popisu uczniów tej improwizowanej szkoły. Obecni wynieśli bardzo miłe wrażenie. Izraelici, którzy przed rokiem zupełnie nie znali języka polskiego, odczytywali wcale poprawnie «Marję» Malczewskiego i wyjaśniali pojedyncze ustępy poematu. Znać było, że rozumieją co mówią i czytają i że z zapałem biorą się do pożytecznej im nauki.

Rezultatu tego serdecznie powinszować należy nauczycielom, którzy z poświęceniem czasu pracują nad uobywatelnieniem izraelitów.

Postanowienie Komitetu mickiewiczowskiego odłożenia do 10 Września narady nad placem, na którym ma stanąć pomnik Mickiewicza, znowu na dwa miesiące odwlokło rzecz samą. Uczyniono to na żądanie członków komitetu z Warszawy (czytaj: dla dogodności radcy Rzewuskiego). *Wie-*

Na sam koniec pozostawiono siwą babkę, żeby była świadkiem zgonu swojej rodziny. Na szczęście, oczy jej już oddawna nie widziały blasku słońca i niebawem pozwolił jej Bóg oglądać światłość wiekuistą.

Wykopano wspólny grób dla pomordowanych i powrzucano weń wszystkich, na wierzch dano małe płaczące niemowlę i zasypano je ziemią.

Z pod ziemi wydobywał się płacz kilka jeszcze godzin.

— Jeszcze brakuje jednej osoby, rzekli mordercy wrzucając trupy do grobu. Tylko jedenastu jest, jeszcze ukrywa się jedna osoba.

I rzucili się nazad do pałacu, połamali sprzęty, podarli dywany, przeszukali każdy kątek strychu i piwnicy i nie mogli znaleźć tej jednej osoby, której brakowało.

W koncu jeden z nich począł do ścian pukać żelaznym młotem i kiedy na to pukanie odpowiedziało głuche echo, dał znak z radością towarzyszom, aby mu przyszli w pomoc.

Były to kryte drzwi, pomalowane jednakowo ze ścianą i ukrywające obszerną nyżę.

Kilka uderzeń siekiery wywaliły drzwi.

— Tu jest, tu jest, wrzeszczeli stojący bliżej, gdy tymczasem reszta z krwiożerczą chciwością podnosiła się, aby ujrzeć ofiarę.

Tam leżała ta jasna blondynka, blada z zamkniętemi oczyma.

Krewna jej prowadząc resztę rodziny, jakby z przeczuciem schowała ją w tę kryjówkę, która nawet służbie nie była znaną.

Tam leżała bez przytomności, w ściśniętej słabej rączce błyszczał ostry nóż, a kiedy bezsilna dłoń odmówiła przysługi opuściły ją zmysły.

— Ah, wrzasnęli Wołosi, a na ich twarzy obok krwiożerczości malowała się jakaś jeszcze myśl więcej piekielna.

— To wspólna zdobycz! wrzasnęło kilku naraz.

— Piękna panna, pańskie dziecko, ha, ha, ha! zaśmiało się kilku, to właśnie dla obdartych Wołochów i brudnemi zakrwawionemi rękami, chwycili delikatną dziewczynę za ramię.

— «Co to takiego!?» zagrzmiał w tej chwili piorunujący męzki głos. Romuni spojrzeli w tył. Między nimi stał mężczyzna o rzymskich rysach, od nich o głowę słuszniejszy, z miedzianym hełmem, na którym widać było ślad silnego cięcia, w lewej ręce trzymał krótki miecz.

— Trybun, mruknęli, ustępując mu z drogi.

— Co tu się dzieje? zapytał, a zobaczywszy zemdlałą dziewicę w ręku jednego Wołocha kazał mu położyć ją na ziemię.

— To także nieprzyjaciel, odparł ten krnąbrnie.

— Milcz nędzniku, myślisz, że naród rumuński powinien kobiety uważać za swych nieprzyjaciół? Połóż na ziemi!

— Nie tak trybunie, przerwał krnąbrnie Lupuj, znasz nasze prawa, które nam zapewniają łup wspólny. Ta dziewczyna jest naszą zdobyczą. Po zwycięztwie będzie wspólnym łupem.....

— Znam prawa lepiej od ciebie drabie. Wspólny podział ze zdobyczy, ale tam gdzie rzeczy podzielić nie można, tam los rozstrzyga.

— Dobrze trybunie, naturalnie, że nie można podzielić konia lub wołu i tam musi rozstrzygać szczęście, ale dziewczyną mogą się podzielić wszyscy.....

— Powiedziałem, że nie można i chciałbym widzieć tego, kto twierdzi przeciwnie.

Lupuj znał trybuna i nie odezwał się więcej, reszta usunęła się od dziewczyny. Tylko jeden ze zgrai krzyknął, że «można.«

— Kto to mówi, niech wystąpi.

Wystąpił młody i trochę podpity Wołoch z zaplecionemi w kosy włosami i stanął z głupkowatym przed trybunem uśmiechem. Bijąc się w piersi rzekł: «Ja mówię!»

Ledwie wymówił ostatnie słowo, kiedy trybun podniósł nagle lewą rękę i jednem cięciem odciął głowę protestującego tak, że ta padła w tył, a tułów upadłszy na kolana obydwiema rękami objął nogę trubuna.

— Twierdzi kto jeszcze, że można? zapytał olbrzym groźnie.

Rumuni odsunęli się chłodno.

— Zaprządz konie do powozu, wsadzić dziewczynę i powieźć ją do Topanfalva. Komukolwiek przypadnie ona w udziale ma prawo żądać, aby ją taką odebrał, jaką ją waszej powierzam opiece. Kogoby zebrała ochota obrazić ją jednem tylko spojrzeniem, uśmiechnąć się do niej, lub o niej wspominać, niech przypomni sobie tego i ma przykład,» rzekł trybun i kopnął nogą leżącego przed nim trupa, dając do rozejścia się znak mieczem.

— Idźcie teraz plądrować, niszczyć, rabować.

Tłum rozbiegł się, a trybun kazał dziewczynę do powozu wsadzić i powierzając ją opiece kilku poddanych rodziny, kazał ruszyć ku górom.

Za pół godziny stał pałac w płomieniach, ogień buchał oknami, powlekając mury czarną barwą. Kiedy już się paliło wszystko, wpadli do piwnicy, porozbijali beczki i pływali wśród morza wina i wódki, wśród dzikiego śpiewu a nad nimi palił się dach cały.

A potem obciążeni zdobyczą poszli dalej, pozostawiając umarłych i dobijając konających.

* * *

Omdlałą dziewczynę zawieziono do mieszkania trybuna. Nikt nie ośmielił się jej obrazić, ale każdemu zdawało się, że ma do

---

my z najlepszego źródła, bo z pisma, jakie przyszło do Krakowa w sprawie zjazdu literatów i artystów polskich, iż niektórzy z członków warszawskich Komitetu miekiewiczowskiego w dniu 10 Września stanowczo nie będą mogli być w Krakowie i dlatego proszą o odłożenie terminu zjazdu. Było to więc zapewne życzenie tylko warszawskich «przyjaciół politycznych» p. Rzewuskiego, aby mu dać jeszcze sporo czasu do bałamucenia opinji różnemi korespondencjami, naciskiem na słabych i łatwowiernych i obrazkami czarnemi i kolorowanemi. Jak się to uprawia dowodem ostatni «Tygodnik illustrowany.» Jest tam naprzód wyrysowany budynek uniwersytecki z podpisem: plac na pomnik, co jest już pierwszem bałamuceniem, gdyż projekt p. Rzewuskiego mówi o pomniku na placu biblioteki, front więc uniwersytetu nic niema z nim wspólnego. Dalej obok tego frontu p. Rzewuski «wyfotografował» róg jakiegoś innego budynku, którego nigdy nie było, którego niema i nie będzie, którego nawet radca Rzewuski nie projektuje. Mamy więc już bałamuctwo drugie. A teraz następuje cały ich szereg w planie placu Mickiewicza, podanym w tymże Nrze Tygodnika. Naprzód zrobiono ładne symetryczne czarne kółko, aby «naród» zachwycał się foremnością placu. Na miejscu Collegium minus stoi naturalnie nowa część biblioteki zatytułowana «czytelnią.» Nie nazwał jednak p. R. po imieniu rajtszuli, choć ją naznaczył, bo to źle brzmi, zwłaszcza, że się rozpościera wprost wytworzonego w fantazji p. R. pomnika. Loka św. Anny zniesiono jednem pociągnięciem tuszu. Nareszcie najklasyczniej wygląda wytknięty kierunek do kopca Kościuszki w prostej linji od pomnika. W kierunku wskazanym można zajść do kościoła ojców Kapucynów, na Łobzów, do Krzeszowic, do Wrocławia i Berlina nawet, tylko nigdy a nigdy na kopiec Kościuszki. Dla Warszawy podajemy porównanie: według pojęcia o kierunku pana R. Kopernik warszawski stoi naprzeciw kościoła ewangielickiego. I dla takich bałamuctw sprawa pomnika puszcza się w odwłokę. A tyle już czasu zmarnowano! Któż nam zaręczy, że ludzkość nie wyda za kwartał znów jakiego nowego projektowicza?

niej prawo, uważali żeby im jej nie wydarto, czekali przed domem na trybuna i wtłoczyli się z nim razem, napełniając sień i pokój.

Poskładano przed nim zdobycz, którą mieli podzielić na równe części.

Dowódzca podzielił ją na równo i rozdał pomiędzy zgraję.

Jedynie jemu należała się dziesięcina, resztę podzielono jednakowo.

Po podziale poszło kilkunastu do domu, ale większa część została na miejscu, rzucając chciwe spojrzenia na ostatnią zdobycz.

Na pościelonem niedźwiedzią skórą łożu leżała dziewczyna blada, nieruchoma, ledwie żywa.

— Zostaliście tutaj, aby rzucić los komu przypadnie ta dziewczyna? zapytał Numa wałęsających się.

— Nie inaczej — odpowiedział Lupuj uśmiechając się bezczelnie. Będziemy grać w kostki, kto najwięcej wyrzuci dostanie dziewczynę. Jeżeli wyrzuci dwóch, dziesięciu, dwudziestu zarówno, będą ją mieli wszyscy.

— Tylko jeden może ją posiadać!— przerwał Numa sucho.

— Wtedy tamci będą grać sami.

— Kostki nic nie warte. Może nas dwóch zostać i będziemy grali do północy.

— To będziemy grać w karty.

— Tego nie pozwolę. Bieglejszy moze oszukać głupszego.

— Dobrze, napisz więc nasze imię na kartki, włóż do beczki i czyje wyciągniesz imię ten zabierze dziewczynę.

— Ależ bo nie umiecie czytać, a ja mógłbym wyczytać tego kogo mnie się podoba.

Wołoch począł skrobać się niespokojnie w czupryne.

— No to powiedz ty co mądrego, trybunie.

— Powiem. Spróbójmy kto z nas najodwazniejszy, kto będzie najśmielszym, kto dowiedzie, że się nie boi niczego, temu damy dziewczynę, bo ten na to zasłużył.

— Dobrze, krzyknęli wszyscy razem. Niech każdy opowie co zrobił, z tego osądzisz, kto z nas najodważniejszy. Ja zabiłem pierwszego Bardy, w oczach jego braci.

— Ja wywaliłem bramę, kiedy najbardziej rzucał na nas żelaza ten szeroki człowiek.

— A jam go przebił.

— Ja wdrapałem się pierwszy po drabinie.

— A ja więcej jak pół godziny biłem się z tym panem w złotym ubiorze.

I tak to szło dalej. Każdy był najpierwszym, każdy najwaleczniejszym, każdy zabił kilkunastu nieprzyjaciół.

— Sprawowaliście się wszyscy walecznie, ale przy tej sposobności nie można dowodzić zdarzeniami przeszłemi. Dopiero musicie złożyć świadectwo wszyscy razem, przedemną, niezaprzeczenie.

— Ale powiedz jak? niecierpliwił się Lupuj, obawiając się, żeby go nie okpił trubun.

— Uważajcie, rzekł Numa, wyciągając z pod łóżka półwiadrową beczułkę. Gdy wśród tego padł wzrokje go na dziewczyne, spostrzegł że ta otworzywszy oczy spojrzała na niego i zamknęła powieki napowrót.

Przebudziła się i słyszała całą rozmowę.

Numa schylając się po beczkę szepnął do niej cichym, stłumionym głosem «nie bój się» i wytoczył beczułkę na środek pokoju.

Rumuni spoglądali ciekawie co będzie z tego.

Wziął siekierę i wybił dno beczułki.

— Tu jest cetnar prochu. Uważajcie. Zapalimy trzaskę sosnową postawimy ją na środku beczki i obsiędziemy w około. Który z nas zostanie najdłużej, ten najodważniejszy bez wątpienia, bo proch jak się zapali, wystarcza do wyrzucenia w powietrze nietylko tej chaty, ale nawet wsi całej.

Kilku z nich zaczęło szemrać z niezadowoleniem

— Kto się boi może odejść — odpowiedział zimno trybun.

— Dobrze, wszystko jedno, przechwalał się Lupuj, ja tu zostanę, ale czy to nie mak w tej beczce. Podobny do maku.

Zamiast odpowiedzi wziął Numa w dwa palce tego maku i rzucił do tlącej fajki Wołocha. Zapalony proch buchnął w twarz niewiernemu, że aż się zatoczył i po chwili stał z osmoloną twarzą, bez brwi, wąsów i brody, przed śmiejącymi się towarzyszami.

Jeszcze więcej rozbestwiło to Wołocha.

— Zostanę tutaj! poczekam! hałasował, podnosząc wypadłą mu z ust fajkę. I kiedy trybun włożył palącą się trzaskę do beczki poszedł i zapalił sobie przy niej fajkę.

Na ten żart wyniosło się dwie trzecie Rumunów.

Reszta usadowiła się z wielkim krzykiem i hałasem około beczki, przysięgając na wszystko, że pozostaną, ale im więcej klęli tem bojaźliwiej spoglądali na palącą się trzaskę, której płomień zbliżał się powoli do prochu.

Z początku zaczęli przypatrywać się nawzajem. Bladym wydawał się jeden drugiemu. Niejeden wyniósł się cichaczem, a potem znikła reszta, nie życząc nawet gospodarzowi spokojnej nocy. Słychać było niekiedy zgrzyt zębów odchodzących, w końcu pozostało dwóch tylko koło beczki. Numa z założonemi rękami stał oparty o krawędź łożka i przypatrywał się spokojnie gorejącej trzasce i Lupuj, tyłem obrócony do niebezpiecznej beczki, siedział obok niej i cmokał niecierpliwie lulkę.

Kiedy zostali sami, obrócił się Wołoch i spostrzegł, że ogień na jeden cal jest oddalony od prochu.

— Trybunie coś ci powiem — rzekł odskakując od beczki. Zostało nas dwóch, nie żartujmy ze sobą, pogódzmy się. Podzielmy się tą dziewczyną.

— Jeźli ci się sprzykrzyło czekanie, mogę posunąć trzaskę niżej.

— Nie warjuj Numa przecież nie oszalałeś. Dla głupiej dziewczyny nie zechcesz zapędzić nas obydwóch do piekła. Powiem ci coś jeszcze. Na to możesz się zgodzić. Przyrzeknij, że jeźli ci się sprzykrzy ta dziewczyna, mnie ją odstąpisz.

— Zostań tu, wygrasz ją, a wtedy będzie twoją.

— Ale ja nie chcę właśnie tego — rzekł zniecierpliwiony Wołoch prawie z płaczem i ze złością i jak dziecko targał ubiór i rwał sobie włosy.

— Tak będzie jak powiedziałem, rzekł trybun. Kto zostanie do końca, ten otrzyma dziewczynę.

— Ta ja zostanę, a czegoż dokażę, wiem że i ty nie pójdziesz i obydwóch nas porwie jabeł. Ja nie mówię to dla siebie, ale mi ciebie żal.

— Jak nie chcesz czekać to uciekaj.

— Dobrze, ale dasz garść dukatów.

— Ani pół nawet, zostań!

— Trybunie, nie warjuj! Ogień dochodzi do prochu.

— Widzę.

— Nie dasz ani talara.

— Ani jednego szeląga.

— No, niechże cię jasne pioruny trzasną w dzień świętego Michała! — krzyknął Wołoch i skoczył do drzwi.

Kiedy już był na dworze zaglądnął jeszcze do izby.

— Nie dasz ani cwancygiera. Nie poszedłem jeszcze.

— Ja także jeszcze nie wyjąłem trzaski, możesz wrócić.

Wołoch trzasnął drzwiami i pędził ile mu dozwoliły siły,

aż znużony w końcu upadł pod drzewem, sukmaną nakrył głowę, pozatykał uszy i tylko od czasu do czasu podnosił się czekając, kiedy z nim poleci świat w powietrze.

Tymczasem pozostały trybun wyjął z zimną krwią dopalającą się trzaskę i rzuciwszy ją do kominka, przystąpił do dziewczyny i szepnął jej do ucha.

— Jesteś uratowaną.

Dziewczyna cała drżąca podniosła się z posłania, chwyciła dużą silną rękę trybuna i rzekła ze łkaniem.

— Bądź miłosierny. Zrób dobry uczynek. Zabij mię!

Trybun pogłaskał jasne jej kędziory i odpowiedział łagodnie: «Nie bój się biedne dziecię, nikt cię tu nie obrazi.»

— Całuję ręce twoje, żeś mię uwolnił od tych straszydeł, ale uwolnij mię teraz od siebie samego! Zabij mię.

— Mnie nie masz się czego obawiać, odparł dumnie Rumun. Ja walczę za wolność, a kobiety nie uważam za niewolnicę. W mojej chatce jesteś tak bezpieczną, jakbyś siedziała u stóp ołtarza. Nie masz się czego obawiać nawet wtedy, kiedy mnie niema w domu, ta chatka jest świętą, a kto cię jednem tylko obrazi słowem, pożegna się ze światem. Kiedy i ja będę w domu, nie bój się: obrazu kobiety, nie było jeszcze w mojem sercu. Połóż się na łóżku, przyjemnie ci będzie odpoczywać tam, gdzie przeszłej nocy spał Emeryk Bardy.

— Emeryk — zapytała zdziwiona dziewczyna. To go widziałeś? Gdzie on jest? Czy żyje jeszcze?

Trybun namyślał się i nie mógł znaleźć stosownej odpowiedzi.

— On nie powinien był tak się spóźnić — odrzekł zamyślony. Inaczej byłoby się stało wszystko. Nie powinno to było mieć takiego końca.

— Pozwól niech pójdę do niego, jeźli wiesz gdzie on jest.

— Tego nie wiem, ale jestem pewny, że żyje i tu przyjdzie, tu musi przyjść.

— Dlaczegoż tak myślisz?

— Bo będzie szukał ciebie.

— Wspominał ci może?

— Kiedy wpół umarły leżał we śnie pogrążony, szeptał imię twoje, ty jestes tą Jolanka Bardy, tym «aniołem okolicy.» Poznałem cię po jasnych włosach.

Dziewczyna spuściła w dół oczy i zawstydzona szeptała: «Więc myślisz, że on przyjdzie.»

— Jak najprędzej. Teraz wypocznij. Nie pytaj za krewnymi, oni są już w dobrem miejscu, już oni nie potrzebują — niczego.

Trybun przyniósł jeść i pić dziewczynie, położył obok książkę do modlenia i oddalił się od podwójnie osieroconej.

Ta zjadła kilka kęsów, potem otworzyła książkę i wśród rzęsistych łez modliła się, aż w końcu dobroczynny sen spoczął na jej powiekach. Po tylu strasznych zdarzeniach zasnęła snem niewinnych.

Za pół godziny nadszedł trybun. Spostrzegł ją śpiącą. Przystąpił po cichu na palcach do wezgłowia i patrzył się długo, długo w tę niewinną śpiącą twarz i niespostrzeżenie stanęły mu dwie łzy w oczach.

Obtarł z oczu tych gości i jakby się zląkł tego nieznajomego i cisnącego się do jego serca uczucia, wybiegł z izdebki, w sieniach rozwinął gruby koc na ziemi, położył się i marząc do połnocy patrzał na miryady gwiazd niebieskich, a sen nie przychodził na jego powieki.

* * *

Dokończenie nastąpi,

Zapiski T. Lipińskiego

Dokończenie.

ROK 1831.

Styczeń. Dnia 1 wyjechał dyktator na obejrzenie twierdzy Modlina i z pośpiechem dokonywanych około niej robót. Wieczorem był z powrotem.

Różnego rodzaju ofiary składane są na potrzeby ojczyzny; średnia klasa najwięcej się do nich przyczynia, jakoteż i żydzi. Z rozczuleniem dowiadujemy się o licznych uczynkach patrjotycznych włościan, służących i kobiet; nie do darowania jest, iż nie przyczyniają się nasi magnaci; i tak kasztelan Bieliński nic dotąd nie wniósł. Za przeszłego rządu odznaczał się wykwintnemi pojazdy, końmi, galonami okrytemi służalcami, marnował na nierządnice, na biesiady; dziś zaś żałuje korzystniej użyć swych dostatków. Niestety wielu jest jemu podobnych.

Dnia 3 dowiedziawszy się dyktator, iż bez odczytania mu drukuje się manifest, wpadł wielkie oburzenie i kazał wstrzymać dalsze wybijanie. Rzekł do członków deputacji: «trzy dni opierałem się z wysłaniem Lubeckiego do Petersburga, uparł się rząd tymczasowy i tenże wyjechał. Należy więc koniecznie czekać jego powrotu lub co nam doniesie, a dopiero w skutek tego ułożyć manifest.» Mimo to litografowany manifest kursuje już po mieście, a co większa, dzienniki pośpieszają z wytłoczeniem go na dzień jutrzejszy, nie czekając ogłoszenia urzędowego.

W nocy rozeszła się wiadomość, istotna czyli też fałszywa, o ucieczce Lubowidzkiego, byłego wice-prezydenta z lazaretu. Natychmiast akademicy z latarniami rozbiegli się po wszystkich rogatkach w celu pojmania go.

Dzień 4. Całe miasto mówi tylko o ucieczce Lubowidzkiego i głośno sarka na małą czujność rządu. Rzecz się tak miała: W dzień nowego roku nad wieczorem przybył do lazaretu Henryk Łubieński jeden z dyrektorów banku, a nateraz zastępujący intendenta żywności z poleceniem na piśmie, jak jedni utrzymują brata swego Piotra, naczelnika gwardji narodowej, a podług innych gener. Wojczyńskiego gubernatora miasta, (który jest wujem zbiega), aby go odwieść do brata wice-prezesa banku, gdzie będzie miał lepsze wygody. Czy go brat ukrył, czyli też ułatwił mu ucieczkę, nie wiadomo dotąd. Dnia dzisiejszego kilku uzbrojonych akademików wpadło do wice-prezesa banku, dowiadując się o jego bracie. Otrzymali odpowiedź, iż go wyda skoro będzie urzędownie wezwany. Lecz w dalszym ciągu rozmowy oświadczył, iż nie jest stróżem brata. Tu okazuje się widoczna sprzeczność. Inni znowu akademicy udali się do Tomasza Łubieńskiego, zastępcy ministra spraw wewn. i policji, czyniąc mu wyrzuty i domagając się, aby się najściślej zajął przekonaniem się o pobycie Lubowidzkiego, odgrażając mu, że głową swoją odpowie. Próżne były jego perswazje, ci dobywszy pałaszy dali do zrozumienia na co byli gotowi.

Dnia 5 wystąpili akademicy, tak zwana gwardja honorowa, na plac Saski. Znaczna ich część była zupełnie umundurowana; wszyscy się zgadzają, iż nazbyt strojno i kosztownie. Dyktator otoczony sztabem przybył pieszo. Przechodził szeregi, wypytywał o szczegóły, poczem nastąpiły różne obroty, dowodził nimi podporucznik Michałowski. Dziwić się należy, że w tak krótkim przeciągu wyuczyli się musztry i robienia bronią. W końcu sta-

nęła muzyka pośród dziedzińca i cały bataljon przeciągał odziałami. Dyktator oświadczył swoje zadowolenie, polecił wybrać 120, którzy z nim w pole wyruszą, inni zaś pozostaną do dalszego rozkazu. Mnóstwo zgromadzonych widzów odprowadziło przy radosnych odgłosach dyktatora do pomieszkania, który ciągle wznosił kapelusz do góry, dziękując za życzliwości oznaki.

Dnia tegoż mieliśmy osobliwsze swego rodzaju widowisko. Na czele kilkunastu ochotników jechał Bernardyn na koniu przy pałaszu, pistoletach i z lancą. U kaptura zarzuconego na głowie, miał białą kokardę. Liczne tłumy towarzyszyły mu przy okrzykach: takich nam księży potrzeba, wiwat! W przeszłym zaś miesiącu przybywającą młodzież ze szkół piotrkowskich, poprzedzało trzech Bernardynów, którzy w parę dni potem zrzuciwszy habity zaciągnęli się do wojska.

Dnia 6 wystąpił na Krak. Przedmieście nowo utworzony 3ci bataljon 1go pułku piechoty liniowej. Pierwszy i trzeci szereg składali dymisjonowani, drugi sami ochotnicy. Dyktator uczyniwszy przegląd udał się na plac Saski, gdzie popisywała się gwardja honorowa konna. Nie było ich więcej nad 60, wszyscy nader strojnie przybrani, ale jeszcze surowi w mustrze.

Po południu rozeszła się pogłoska jakoby Lubowidzki miał się ukryć u Sakramentek na Nowem Mieście. Akademicy z pospolstwem otoczyli klasztor, żądając otworzenia drzwi. Wnet przybył i gubernator miasta, wszedł z kilkoma do klasztoru, uczynił przegląd i oświadczył, że nie znalazł byłego wice-prezydenta, tylko jego żonę z dziećmi. Słowem jest to zagadką co się z nim stało; musi się gdzieś ukrywać, gdyż liczne jego rany, zaledwie przygojone, nie dozwoliłyby mu jeszcze podróży odbyć. Henryk Łubieński i brat winowajcy wzbraniają się wyznać co się z nim stało. Przydano obudwom straże i mają ich pociągnąć do śledztwa. Dyktator zganił akademikom ich postępek.

Tegoż dnia Tomasz Łubieński zastępca minist. spraw wewn. i policji otrzymał dymisją, a w miejsce jego mianowany został Wincenty Niemojowski, zastępca radcy w tejże komisji. Władza ta od rewolucji kilku zmieniła ministrów i tak: po Mostowskim został zastępcą And. Zamojski, po nim dwaj wyżej wspomnieni.

W tych dniach przybyło tu kilku obywateli i dwóch oficerów z korpusu lit., którzy wpław Niemen przebyli. I z Wołynia także potrafiło się przekraść kilku młodzieży.

Dnia 7 nadedniem przybył tu z Petersburga wysłany ztąd zaraz po sejmie adjutant dyktatora, podpułkownik Tadeusz Wyleżyński. Oczekiwaliśmy go z niecierpliwością, spodziewano się, że przywiezie coś stanowczego, że nam doniesie o stanie rzeczy w Rossji; zawiedzione nadzieje, nic z tego. Od granicy bowiem przydano mu straż, wzbronionem mu było z kimkolwiek rozmawiać, ani się gdziebądź zatrzymywać. Toż samo w Petersburgu ponowiono, zamknięto go w pokoju, widział się na chwilę z cesarzem i po dwóch dniach wyprawiono z takiemiż jak wpierw ostrożnościami. Przywiózł depesze do Sobolewskiego byłego prezesa rady admin. podpisane. Mają być nader obojętne i donosić o niezwłocznym powrocie posła Jana Jezierskiego. Niewiadomo co się z Lubeckim stało, czy aresztowany, czyli też sam zwinął chorągiewkę. Co do ostatniego wniosku, większość ogółu utrzymywała, iż wyjedna sobie, że go tam zatrzymają.

Dla wyrzeczenia względem dalszych sposobów zebezpieczenia bytu narodowego i obmyślenia stosownych do tego celu działań, postawił Dyktator pod dniem dzisiejszym na przedstawienie rady najwyższej narod. zwołać obie izby sejmowe na dzień 17 b. m.

Dziś 8° zimna. Jestto pierwszy tak wielki mróz w tej porze.

Dnia 8 kazano o godzinie 1 po południu wystąpić na plac Saski gwardji honorowej. Młodzież nie wiedziała o co idzie. Wnet przybywa dyktator i oświadcza, iż będzie odtąd składała bataljon gwardji polowej. Poczem kazał przeczytać dymisją dotychczasowemu naczelnikowi prof. filozofji w uniw. Szyrmie, a w miejsce jego mianował dowódcą byłego podpułkownika Łagowskiego, który lat kilka był więziony u Karmelitów za przeszłego rządu.

Dnia 9 jako w dzień niedzielny po nabożeństwie w kościele Wizytek, Szyrma w czułych wyrazach pożegnał młodzież i ucałował ich chorągiew. Dwaj uczniowie akademicy stosownie odpowiedzieli, a zwracając mowę do nowego swego dowódcy rzekli: bądź drugim Szyrmą naszym. W krótkich wyrazach odpowiedział waleczny Łagowski, poczem na rękach wyniesiono Szyrmę z kościoła.

Przepomniałem zamieścić ważny obchód dnia 29 z. m. Młodzież akademicka, wielu z miasta, jakoteż i damy o godzinie 6 wieczorem napełnili salę posiedzeń uniwers. Szyrma przedstawił obecnym cel zgromadzenia jako pamiątkę obchodu pamiętnego dnia rewolucji. Reprezentant Kantorbery Tymowski odczytał stosowny do tej okoliczności wiersz. Po nim kilku innych deklamowało wierszem i prozą, a dwaj uczniowie zanócili patrjotyczne pienia. Postanowiono odbywać co miesiąc w dniu tym podobny obchód i to przy nakrytych głowach. Proszono reprezentanta, aby na nadchodzącym sejmie wniósł projekt, żeby 29 listopada był dniem uroczystości narodowej. W końcu wszyscy obecni zanucili pieśń: «Cześć polskiej ziemi, cześć.»

Wincenty Krasiński otrzymawszy dymisją wyjechał, ale niewiadomo dokąd. Tajemnicą jest, co się stało z gener. Kurnatowskim, dotąd bowiem nie ogłoszono jego uwolnienia ze służby. Ksawery Kossecki otrzymał dymisję jako radca sekret. stanu, ale nie jako generał dywizji; ukazuje się po cywilnemu, żonę zaś z dziećmi wyprawił do Niemiec.

Nasze pisma publiczne, których kilkanaście powstało nadużywają prawdziwie wolności pisania, powstają na rząd teraźniejszy, szarpią i szkalują. Najzagorzalsze pismo jest Nowa Polska i sieje nieufność w narodzie; kilku zapaleńców wydających ten dziennik, są naszymi Jakobinami. Lubo z drugiej strony zważając, narzekać prawdziwie należy na tajemniczość rady najwyższej narod.; z pism niemieckich dowiadujemy się o wielu rzeczach nas dotyczących i z nich dopiero nasze dzienniki je ogłaszają, jako to: depesze przywiezione przez Haukego, manifest cesarski do Rossjan itp. Może za granicą pierwej wiedzieć będą co przywiózł Wyleżyński, aniżeli my, którzy tymczasem samemi baśniami obsypani jesteśmy. Krąży po mieście rozmowa jaką tenże wysłannik miał z cesarzem; nie umieszczam jej, gdyż różni różnie opowiadają.

Dnia 10 ukazały się pierwszy raz sanki tej zimy.

Obrany rektorem uniw. Karol Skrodzki, prof. fizyki, były dziekan wydziału filozoficznego. Od założenia uniw. jest to drugi dopiero wybór. Przeszła komisja ośw. nie dozwalała go uskuteczniać, trudno nawet wyrzec dla jakich powodów, chociaż ks. Szwejkowski posiadał powszechną miłość uczniów, a nielubiony był od komisji i ciągle z nią, jak mówią, darł koty.

Dowiadujemy się, iż radca stanu w komisji skarbu Józef Morawski mianowany został zastępcą intendenta jlnego wojska, w miejsce Henryka Łubieńskiego, który chociaż aresztowany w gmachu bankowym, trudni się wszakże interesami jako urzędnik banku, również jak i aresztowany Lubowidzki, wice-prezes banku. Oba wzbraniają się wykryć, co zrobili z byłym wice-prezydentem miasta. Powinienby rząd wziąść ich w ścisłe kluby, zwłaszcza, że powszechne jest oburzenie mieszkańców na opieszałość w tej tajemniczej sprawie. Lękać się wypada, aby nie przyszło do jakich gwałtownych kroków, tembardziej, że głos publiczny domaga się kary i śmierci na szpiegów, a znaczna liczba zapaleńców głośno słyszeć się daje, iż rewolucja nasza nie jest rewolucją, że potrzeba więcej ofiar, więcej krwi.

W tych dniach klerycy od Bernardynów podnieśli rokosz przeciw swej zwierzchności, wzbraniającej im wstąpić do wojska. Wyznaczono komisję, która wysłuchawszy młodzież zakonną, pałającą chęcią służenia ojczyźnie, sprawiła, iż jedynastu wstąpiło do szeregów.

Pułk Szembeka dał piękny przykład, iż wynagrodzenie swoje w ilości blisko stu tysięcy złp. złożone w banku, odstąpił na potrzeby ojczyzny. Za nim poszły i dwa inne pułki piechoty, oficerowie byłej gwardji strzelców konnych, (dziś pułk ten zowie się 5-tym, stoi w tej chwili pod Mokotowem) znaczne porobili ofiary, żołnierze nawet odstąpili część żołdu. Generał Żymirski, dowódca byłej gwardji grenadjerów złożył od siebie 45.000 złp. i wystawił sześciu uzbrojonych jeźdźców konnych; że opuszczę inne pomniejsze, lecz liczne dary wojskowych.

Przecież usunął dyktator obudwu regimentarzy i zniósł zupełnie te dostojeństwa. Okazało się bowiem niepodobieństwem, aby wydołali dokładnie i z pośpiechem swoim obowiązkom. Cztery województwa uzbrajać i zaopatrywać w potrzebne artykuły, przechodziło siły i zdolności jednego człowieka, wprawdzie mieli ku pomocy szefów sztabu, lecz niedołężnych, po kilkunastu adjutantów, zwykle młodzików, którzy przypiąwszy pałasz i szlify do munduru, bruk tylko w Warszawie krzesząc, rozprawiali, wrzeszczeli po kawiarniach, a nie uczyli się służby i w niczem pomocni nie byli. Regim. Małachowski były gener. a teraz senator, dosyć czynnie zajmował się, ale Roman Sołtyk mający prawy brzeg Wisły, przesiadywał zwykle w stolicy i czas na zabawach trwonił. W tych dniach mianowano organizatorami samych generałów. Oddano każdemu po dwa wdztwa; mniejszy obręb kraju dozwoli im lepiej dopilnować swych czynności i jako wojskowi energiczniej będą działali. Przeznaczono do tego takich generałów, którzy albo nie mają zaufania w wojsku, lub na których zdolnościach strategicznych nie można było polegać; ich zaś brygady otrzymali pułkownicy lub generałowie posiadający większe usposobienie wojskowe.

Dnia 12 zrana dowiedzieliśmy się, iż wczoraj wieczór aresztowano Lelewela, zastępcę ministra ośw. Józefata Bolesława Ostrowskiego zastępcę sekretarza jlnego w komisji sprawiedliwości i Ksawerego Bronikowskiego, adwokata, wydawcę, patrjotę. Niewiadomy jest powód ich przytrzymania, lecz są to ludzie wielce exaltowani, gwałtowni i mają licznych stronników, którzy ich zasady upowszechniają. Słychać, że byli na czele spisku i ultrarewolucją sprawić chcieli, że sprzątnąć umyślili członków rady najwyższej, a nawet i samego dyktatora, ażeby postawić na czele rządu energicznych młodych ludzi, ma się rozumieć, że i o sobie pamiętaliby. Słychać nawet, że i dwie kompanje saperów do spełnienia ich zamiarów należały. Przypuśćmy, żeby dokazali swego, czyż znaleźliby zaufanie narodu i wojska? Wystawiliby tylko kraj na widoczną zgubę, z hańbą byśmy runęli. Przez noc wczorajszą ciągle wojsko patrolowało, odgrażając się zemstą na wichrzycieli. Mieszkańcy nie wiedząc o niczem, spokojnie noc spędzili; dopiero nazajutrz gdy ta wieść gruchnęła, każdy zgrozą i oburzeniem przejęty, a niepewność co się dalej stanie widocznie malowała się na twarzach. Aliści dnia tegoż wieczorem owi trzej mężowie uwolnieni zostali. Nie wiemy z pewnością szczegółów całej tej wielkiej sprawy, każdy bowiem co innego prawi; niektórzy powstają na niesłuszne ich przytrzymanie, lecz większość a raczej ogół potępia tych zagorzalców i klubistów.

Dnia 13 ogłosiły gazety pismo sekretarza jlnego dyktatora, iż tenże dnia onegdajszego o godz. 3 po południu ostrzeżonym został o knowanym spisku na obalenie teraźniejszego rządu i że i że w kilka godzin potem podpułkownik artylerji Łukasz Dobrzański złożył własnoręczne zeznanie, że sapery mają zamiar przymusić artyl. do działania kontrarewolucyjnego, chcąc przez to dyktatorowi być pomocą, gdyż rząd niedosyć popiera dobre jego chęci. W skutek tej wieści rozdał podpułkownik broń i ładunki między artylerją. Dalej, że jeden oficer zeznał, jakoby na sesji złożonej z Lelewela, Bronikowskiego i Ostrowskiego uradzono, że jeźli dyktator zakaże klubu, aby to było hasłem do nieukontetowania publicznego; następnie udał się Bronikowski do ks. Czartoryskiego przedstawiając mu, aby doradzał zakazanie klubu. Dyktator celem sprawdzenia uczynionych zarzutów, jakoteż dla wykrycia winnych, dla zabezpieczenia obwinionych i skarżącego, kazał trzech pierwszych w pałacu namiestnikowskim, Dobrzańskiego na odwachu przez noc zatrzymać. Pierwsze badania polecił dyktator sądowi kryminalnemu, a na przedstawienie rady najwyższej, aby obwinieni w poczynionych im zarzutach z wolności odpowiadali, uwolnić ich rozkazał.

Dnia tegoż wieczorem przybył nareszcie z Petersburga Jan hr. Jezierski, poseł lubelski, który wraz z Lubeckim wyprawiony był w deputacji.

Dnia 14 w miejsce Aleksandra Krysińskiego mianował dyktator swoim sekretarzem Romana Załuskiego referendarza, byłego więźnia stanu. Niewiadoma jest przyczyna uwolnienia pierwszego od obowiązków; był on lubiony od dyktatora i miał z nim bliskie od paru lat stosunki. Młody ten człowiek stał się nieznośnym dla otaczających Chłopickiego, z powodu tonu jaki sobie dawał, mianowicie wojskowi go nie cierpieli. Daremne były wszelkie przełożenia czynione dyktatorowi, aby kogo innego przybrał w pierwszych dniach rewolucji, cóż go teraz do tego skłoniło? Prawda, że w dymisji wyrażono: na własne Krysińskiego żądanie, lecz to jest zwykła forma.

Dnia tegoż mianowany został kasztelan Antoni hr. Ostrowski dowódcą gwardji narodowej w miejsce Piotra Łubieńskiego. Wątpimy bardzo, aby odpowiedział godnie temu powołaniu. Wreszcie złe jest w samym zarodzie, gdyż wybory na oficerów odbyły się pokątnie i drogą zabiegów; ztąd niechęć i brak subordynacji. Dwa pułki piesze składają gwardją narodową; pierwszym dowodzi w stopniu pułkownika kupiec Zeydel, drugim aptekarz Żelazowski, były wojskowy. O robieniu bronią nie mają gwardziści wyobrażenia, do tej liczby należę i ja; dano mi karabin bez kurka, dźwigam go idąc na wartę w różne strony i kąty miasta, częstokroć najmuję zastępcę, gdyż niesposób wytrzymać wśród smrodu na odwachu i w gronie szanownych kolegów, których wcale nie znam. Większa część składa się z hołoty w całem znaczeniu; gorzałka i fajka uprzyjemnia im chwile służbowe. Chciano mię mianować podoficerem, ale wymówiłem się od tego zaszczytu, dając za przyczynę, że nie mam

munduru, ani odpowiedniej kwalifikacji. «Dobrześ zrobił obywatelu,—ozwało się kilku w kożuchach i podartych sukmanach,—bo to teraz równość.» Poklepał mię jeden z nich po ramieniu, a drugi ucałował, że aż mi się słabo zrobiło.

Z WŁOCH.

przez S. M.

Ciąg dalszy

Nie jest moim zamiarem pisać historji malarstwa, ani przedstawiać w krytycznym przeglądzie znamiona szkoły weneckiej, medyolańskiej, toskańskiej, rzymskiej, umbryjskiej, bolońskiej, lub też porównywać pojedyńczych mistrzów ze sobą i dawać ich charakterystykę. Ograniczę się na tej uwadze, że całego włoskiego malarstwa, począwszy od owych dzieł rozrzewniająco-naiwnych, aż do tych w zachwyt wprawiających nas tworów jenialnego natchnienia i to bez różnicy czyli ich przedmiot do historji świętej i martyrologii, czy też do mitologii należy, całego włoskiego malarstwa cechą jest szlachetne przejęcie się sztuką, prawdziwe uczucie i dobra wiara. Dlatego przedstawia ono rzecz zwykle w sposób anachroniczno-spółczesny, a nie archeologiczny, nie goni za efektem, a nie zna co maniera. Nie pojmuję też zarzutu materjalizmu czynionego Tycianowi i szkole weneckiej. Wybór przedmiotów tenże sam co i u innych, — (przecież Rafael w Villa Farnesina przedstawił także przygody Amora i Psyche), przedstawienie zaś np. w Asuncie pewnie nie realistyczne, nie Rubensowskie, lecz tak idealne, jak wszystkich innych najsławniejszych mistrzów włoskich. Bo też cały duch tego malarstwa jest duch renesansu, duch grecko-rzymski, poetyczny, idealny, świeży a jasny.

Michał Anioł dopiero swym przestraszającym geniuszem zamknął dawną epokę i pchnął tę sztukę na nowe tory, lecz jej przez to do większej nie powiódł doskonałości. Oprócz Veronesa i Coreggia, którzy chociaż nieco późniejsi przecież jeszcze do owej plejady wielkich malarzy należą, poczyna sie też pojawiać maniera. W XVII. wieku mamy tu Caracci'ch, Domenichina, Allorego, Marattę, Guido Reniego i Carlo Dolce, z których ci ostatni obydwa bywają naprzemian ślicznymi i nader nieprzyjemnymi. Tiepoletto i Canaletto z końca XVIII. wieku stanowią już przejście do dni naszych.

Przyznać jednak należy, że jeżeli rzeźba pomimo odrodzenia się sztuki po za starożytną pozostała, jeżeli architektura z dawną na równi stanęła, to znów malarstwo dosięgnęło niemarzonej dawniej doskonałości. Ono też z Włoch i na inne kraje swój błogi wpływ wywarło. Murillo, Spagnoletto i co jest Hiszpanów ztąd wzięli początek, a Montegna w Paduy i Mantui wpłynął na Duerera i Holbeina, a więc względem niemieckiego malarstwa zjednał sobie zasługi. Francuzka sztuka w nowszych dopiero czasach większe zrobiła postępy.

Pobieżnych tych kilka uwag o nieprzerwanym, od najdawniejszych czasów, od najsurowszych pierwiastków, przez różne szczeble aż do szczytu doskonałości i po nowe czasy ciągnącym się rozwoju sztuki, wszelkie rodzaje wszech świata obejmującej, a przecież nieprzerwanie jedną i tąż samą narodową, włoską sztuką powstającej, wystarczą, by wytłomaczyć, że to zajmowanie się nią właśnie i zarazem badanie historyczności kraju, że to są owe dwa źródła nieustających uciech dla obcego, przywiązujące go do Italji, a co większa dające mu moralny i umysłowy spokój i odpoczynek. Jak pogodne, bez chmury nad głową jego wznosi się niebo, tak jasne i spokojne te horyzonty, które historja i sztuka przed myślą jego roztaczają. Zapomina się tu o spleenie europejskim, o kłopotach translitawsko-austrjackich, o galicyjskich goryczach własnego i poruczonego zakresu działania, ale nawet i narodowe boleści i osobiste zmartwienia tutaj cichną. Nietylko pierś lżej w południowym klimacie oddycha, ale i serce tu ciszej i spokojniej bije i błogo się żyje.

Wyliczać gdzie co ze sławnych utworów sztuki i gdzie jakie zbiory się znajdują, nie będę. Nie w tych kilku wierszach, ale w opisach Włoch i w książkach służących jako przewodniki podróży, na to stosowne miejsce. Przez to bowiem, że powiem, że Etrusków i egipskich przedmiotów największa kolekcja we Florencji, pompejańskich [1]) od Museo Burbonico w Neapolu, — rzeźb tamże, w Rzymie i we Florencji, zabytków chrześcjańskich zbiór w Rzymie, a malarstwa wielkie galerje, obznajamiające nas z pojedyńczymi mistrzami i szkołami przedewszystkiem we Florencji i Wenecji, potem w Medyolanie i Bolonji, a że rzymska, watykańska mało sztuk liczy, lecz za to z pierwszorzędnych arcydzieł najsławniejsze posiada i że Rafaela tylko w Rzymie poznać można, że tu jego Madonna di Filigno, tu Transfiguracja, ale tu także Stanzze, loggie, arazze, tu Villa Farnese. Tu także Michała Anioła syxtyńska kaplica, że to tu wszystko jednym tchem wyliczę, przez to jeszcze właściwie nic nie powiedziałem.

Miasta włoskie. Tenże stosunek i z włoskiemi miastami zachodzi. Cóż ich za mnóstwo, a każde czemś sławne i zająć zdolne. Ich również niepodobna mi opisywać ni wyliczać. Wielką ich rozmaitość wskazują już przymiotniki im nadawane, chociaż takowe w niejednym kierunku dziś swe znaczenie utraciły. Mowiono niegdyś Venezzia la superba, Genua la ricca, Padua la docta, Firenze la bella, Roma la santa, Bolonia la grassa (dlaczego?), trzebaby tu dodać Napoli la cativa albo la malviventa i Pisa la morta. Gdyż ostatnie to miasto jedynie tylko swą katedrą, pochyłą wieżą, chrzcielnicą i cmentarzem (campo santo z przepysznemi freskami) na samym końcu swych zabudowań, położonemi sławne, istotnie wymarłem się zdaje. Piękności Wenecji, Florencyi i Rzymu opisywać nie będę. Wszystkie trzy i zbiorami swemi i sławnemi budynkami i wielką przeszłością i pamiątkami imponują. Lecz pierwsza z nich, z samych wysepek złożona, w lagunach się kąpiąca jest tak czarująca i oryginalna, że w niej jednej zapomnieć można, iż na świecie istnieją pola, łąki, lasy i góry i za niemi się nie tęskni, a druga właśnie w bogatej i pięknej okolicy położona, łączy łagodność południowego klimatu z zielonością naszych północnych krajów. O trzeciem mieście już mówiliśmy, że bogactwem swych zabytków w ubiegłe przenosi nas wieki. Wenecja i Florencja słusznie słyną jeszcze ze swych pałaców w odrębnych zupełnie stylach zbudowanych. W pierwszej są one albo maurytańsko-gotyckie, ale zmodernizowane i najzupełniej aklimatyzowane, lub też stanowią okazy najpowabniejszego i najstrojniejszego renesansu. Pałace drugiej, z ogromnych ciosów a la rustica stawiane, piękne są tylko harmonią swych części i rozmiarów między sobą, zabytki najpoważniejszego odrodzenia; choć nie zawsze wielkie, wydają nam się ogromnemi, jak dobrze założony ogród angielski którego granic i szczupłości dostrzedz nie możemy. Nie tak jak w kościele św. Piotra w Rzymie. Gmach to największy na świecie, o tej jego wielkości dopiero się nabywa wyobrażenia, gdy się pojedyńcze jego bada szczegóły. Inaczej wydaje się małym, żadnego nie robi efektu i zdaje się być rozwiązaniem zadania, jak największemi środkami, najmniejsze wywołać wrażenie.

W ogromnym, zimnym tym gmachu nie znajdzie ani prostoty pierwiastkowych budowli chrześcjańskich, co przez swą naiwność tak wielce na nas działają, ani poetycznej średnich wieków egzaltacji, która żadnej katedry wykończyć nie mogła, jakby chcąc symbolicznie przez to wskazać, że celu do którego dążyła tj. chrześcjańskiej doskonałości na ziemi w zupełności trudno osięgnąć, a która to egzaltacja znamieniem swem ostrołuk obrała, bo i on tak jak owa do niebios tęsknota, zawsze wyższym jeszcze da się pomyśleć. W tym ogromnym budynku nie znajdzie również mistycznego ascetyzmu wschodu, który nawet tłem złoconem i mozajkami prawi nam o znikomości rzeczy ludzkich, ale niema tu nawet owej nowszych czasów bardziej rozumowej, aniżeli sercowej wiary, która w renessansie, tej summie i epilogu wszystkich epoki stylów poprzednich, cześć chrześcjańistwu oddaje. Budowla ta ważna dla historyka i technika, ale nie dla estetyka.

Dokończenie nastąpi.

---

[1]) Między niemi ogromna, cudowna czara ze szkła szafirowego, przeźroczystego z płaskorzeźbami na niej białemi. Ona dopiero daje wyobrażenie o doskonałości starożytnych wyrobów szkannych, przewyższających najlepsze dzisiejsze.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Anastazja Dzieduszycka. Listy nauczycielki poświęcone nauczycielkom ludowym i uczennicom seminarjów nauczycielskich żeńskich. Kraków 1883 str. 256, cena 1 złr.

Powszechnie znane w literaturze pedagogicznej imię szanownej autorki „Listów“, samo już wystarcza na ich pochwałę. Hrabina Anastazja Dzieduszycka poświęciła się od lat kilku mozolnej pracy nauczycielskiej i dobrowolnie przyjęty na siebie obowiązek wypełni z całem zamiłowaniem. Nie teorja więc przeto tylko przez nią przemawia, ale i praktyka, tem więc cenniejsze są jej prace, tem większem cieszą się powodzeniem.

„Listy nauczycielki“ to w powabnej formie rozmowy listowej cały szereg pogadanek na tle pedagogiki a głównie ekonomji. Gospodarstwo społeczne po raz pierwszy w naszej literaturze znalazło popularną interpretatorkę. Myśl to bardzo szczęśliwa, gdyż wszystkie podręczniki ekonomji jakie posiadamy przeznaczone są dla umysłów odpowiednio przygotowanych naukowo, są to wreszcie dzieła poważne, znacznej objętości, występujące z całym aparatem naukowym. To co one zawierają wypada popularyzować, wyniki ich podawać w przystępnej formie. Tego trudu podjęła się autorka i wykonała go bez zarzutu.

Dlaczego jednak pracę swoją autorka poświęciła młodym nauczycielkom? Oto dlatego, że szkoła ludowa winna mieć wpływ nietylko na oświatę ale i na bogactwo i moralność ludu. Jeżeli zaś wpływ ten jest dotąd niedostateczny, to jednym z głównych powodów jest ten, że nauczycielki ludowe mało znają lud i jego potrzeby. Ztąd autorka podaje cenne wskazówki służące do poznania ludu, a ponieważ jedną z najważniejszych jego potrzeb jest dobrobyt i moralność, zapoznaje naturalne przewodniczki ludu z pierwszemi zasadami ekonomji. Idą więc z kolei pogadanki o kapitale i zasobie, o ich użyciu, o własności, o kredycie, przezorności, o stowarzyszeniach zarobkowych i bankach zaliczkowych. Wszystko to podane praktycznie, zajmująco, oparte na przykładach. Następnie autorka wraca się do moralności, serdecznie i ciepło mówi o obowiązkach względem kraju, rodziny i samego siebie. Zwracamy uwagę na bardzo ładny ustęp o miłości ojczyzny, o obowiązkach obywatela i zapoznawaniu ludu z historją kraju (str. 154—170). Później autorka znów przechodzi na pole ekonomji i wykłada pojęcia o bogactwie, poświęca znaczny ustęp fabrykom, walcząc przy sposobności z fałszywemi teorjami. Cała ta pogadanka oparta jest głównie na stosunkach galicyjskich, których znajomość, rzecz prosta, jest najwięcej naszym nauczycielkom ludowym potrzebną. Ostatnie parę roździałów zajmują się losem nauczycielek, ich stanowiskiem i wskazówkami jak dalej kształcić się mają i jakich do tego nasze stosunki dostarczają im środków. Na końcu dziełka znajduje się bardzo pożyteczny i dobrze zebrany spis dzieł pedagogicznych ludowych, naukowych i belletrystycznych, których znajomość każdej nauczycielce jest nieodzownie potrzebną.

Serdecznie powinszować należy autorce tej pracy, dokonanej sumiennie, z miłością dla kraju i społeczeństwa, a powiększającej i tak już liczne jej zasługi. *Dr. S.*

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

PRZEGLĄD WYSTAWY TOW. SZTUK PIĘKNYCH.

Nie mając miejsca na obszerne sprawozdania artystyczne, które zazwyczaj bywają popisem stylu i znajomości sztuki i estetyki, a są tak górnie i poważnie pisane, tak przepełnione technicznemi wyrażeniami i porównaniami, że je z biedą czytelnik zrozumieć jest zdolny — będziemy podawali w każdym nrze “Przeglądu“ krótkie wzmianki o nadchodzących na naszą wystawę rzeźbach i obrazach, wybierając tylko te dzieła sztuki, które czy to pomysłem, czy rysunkiem, kolorytem, techniką lub wykończeniem odbijają korzystnie od innych. Ztąd choćby uwagi nasze były bardzo surowe, zarzuty bardzo silne, to sam fakt, iż o danym obrazie lub o danej rzeźbie mówić będziemy, służyć powinien za dowód uznania wyrażony przez nas dla pracy artysty, gdyż zastanawiać się nad całkiem słabemi utworami nie mamy chęci i czasu.

Witold Pruszkowski: Umizgi. Każdą wiadomość o nowym obrazie tego artysty witamy z ciekawością, przekonani z góry, że zostaniemy olśnieni oryginalnością traktowania przedmiotu i znakomitą techniką. Jednocześnie jednak obawiamy się zawsze czy artysta nie zechce być zanadto oryginalnym tak w wyborze tematu jak i w jego przeprowadzeniu, czy oddając należne pochwały dla pędzla, nie będziemy zmuszeni przyznać, że obraz czyni niemiłe wrażenie. Pan Pruszkowski usiłuje połączyć idealizm z realizmem; udaje mu się to wówczas, kiedy ten ostatni nie jest wstrętny. Obrazy takie jak „Kiedy ranne wstają zorze,“ „Anhelli,“ „Rusałki,“ lub „Sielanka“ byłyby ozdobą każdej wystawy, nietylko ze względu na mistrzowskie wykonanie, ale i dla prawdziwego piętna poezji, jaki je cechuje. Ale za to „Madej“ i „Wilkołak“ pomimo świetnego pejzażu, „Jan Kochanowski przy zmarłej Urszulce“ pomimo wspaniale wykonanych akcesoryj, robią wrażenie utworów nieudałych, chorobliwych, bo usiłujących wynaleźć piękno w tem, co jest i musi pozostać brzydotą. Dlatego też obawialiśmy się nowego rozczarowania i mile zawiedzeni zostaliśmy. „Umizgi“ należą do lepszych pod względem techniki i pomysłu prac Pruszkowskiego. Na blizkiem tle chałup i ogrodów wiejskich widzimy raźnę dziewuchę, a obok niej opartego na studni tęgiego parobka, patrzącego namiętnie jej w oczy. On trzyma ją za rękę, a ona niby patrzy obojętnie, niby nie rozumie mowy jego oczów, lecz dłoni z rąk jego nie cofa. Niema tam sentymentalizmu, lecz prawda szczera pochwycona na uczynku. Pruszkowski zna wybornie lud z jego strony zewnętrznej i w tej znajomości niełatwo z nim rywalizować. Obraz trzymany jest w półtonie, technika przypominająca nową szkołę francuzką nic nie pozostawia do życzenia. Potrzeba niemało wprawy, aby pokonać takie trudności jak np. namalowanie chłopskiej białej sukmany i wiśniowego koloru spódnicy, która to sukmana ze spódnicą zajmuje trzy czwarte obrazu, figury bowiem są naturalnej wielkości. Twarz dziewczyny może niepiękna, ale wyrazista i składna. Nie można tego powiedzieć o twarzy parobka, zbyt pospolitej, a nawet brzydkiej. Zarzucilibyśmy również ciężkość części pejzażu: tło z gęsto poplecionych gałęzi, same dla siebie znakomite, przygniata nieco figury, przez co obrazowi brakuje powietrza. Podnieść za to należy rzadkie u Pruszkowskiego wykończenie szczegółów, przyzwyczajeni bowiem byliśmy do pewnego z jego strony ich lekceważenia. Całość sama wreszcie jest mniej dekoracyjną, niż inne jego prace, co uważamy za wielki postęp. Pruszkowski ze swoim wielkim talentem powinien już był zajść bardzo wysoko, gdyby nie owo nieszczęsne „puszczanie,“ będącego wynikiem małej cierpliwości.

Łuskina: Odaliska. Z nazwiskiem tem spotkaliśmy się raz tylko na zeszłorocznej wystawie szkiców urządzonej przez p. Miena. Był na niej niewielki szkic, około którego przechodzono obojętnie, pomimo wysokich zalet. „Fortuna“ (tak się ów szkic nazywał) w pomyśle była naśladownictwem, lecz w wykonaniu niepoślednią posiadała wartość. Zwracała w niej uwagę nietylko wyborna perspektywa i umiejętność chwytania ruchów, ale i bardzo dobra gra kolorów. Znać było artystę umiejącego znakomicie szkicować i posiadającego warunki do tworzenia efektownych dekoracyjnych obrazów. Takie mniemanie o talencie p. Łuskiny powzięliśmy z jego szkicu, ale dziś mając poważną pracę jego przed sobą z prawdziwą przyjemnością przyznajemy mu posiadanie i innych warunków i przymiotów, cechujących dobrego artystę. Na sofie pokrytej kobiercami i makatami leży naturalnej wielkości naga kobieta. Może ona nie jest wschodnią odaliską, może za mało w niej znać namiętności lub zniechęcenia, tych dwóch uczuć kojarzących się w tych wykolejonych z prawidłowego życia istotach, może mamy do czynienia raczej ze zwykłą naszą kobietą, wychowaną wśród salonów lub gwaru miasta — ale to rzecz drugorzędna, temat do sprzeczki zwyczajnej, a nie artystycznej. Bierzmy ją taką jaka jest. Ciało piękne, białe, delikatne, przez cielisty kolor przebijają niebieskawe żyłki, pierś wydatna i kształtna, cały korpus pełen estetycznych linij i właściwej miękkości, twarzyczka wdzięczna, o ciemnych oczach i ponętnych ustach. Jedną rękę opuściła bezwładnie, drugą złożyła na bujnych splotach włosów. Całość tchnie życiem i wabi rozkoszą. Wogóle karnacja jest świetna; bez przesady powiedzieć można, że z taką na naszej wystawie rzadko się spotykaliśmy. Dodajmy do tego inne zalety jak: soczystość pędzla, bardzo poprawny rysunek, koloryt spokojny a jednak efektowny, wyborne modelowanie, nóg zwłaszcza, estetyczne linje pięknie rzuconych draperyj, wreszcie sumienne wykończenie drobnych akcessoryj. Jeżeli szukać zarzutu to wolelibyśmy stopy mniej realnie pojęte, bo choć zupełnie „piękne nóżki“ łatwiej spotkać w poezji i powieści niż w rzeczywistości, to mimo to pewna idealna ich forma istnieje i oczom miłe sprawia złudzenie. Wreszcie żółta makata zbyt surowa, skórzana. Ale oto i wszystko co „Odalisce“ zarzucić można.

Świedomski: Córka Kamelji. Poranek. Lampa się jeszcze pali. Na szezlągu spoczywa piękna kobieta. Całe otoczenie wykwintne, eleganckie: pianino, dzieła sztuki, bogate meble i dywany. Wypróżnione kieliszki i rozrzucone pomarańcze świadczą o przebytej orgji. Jedwabna szata pokrywa kształty „Kamelji,“ drobne nóżki w atłasowych trzewiczkach spoczywają na kozetce. Kilkoletnie dziewczę wchodzi do tego gabinetu rozkoszy; to córka „wesołej“ matki. Zdumiona patrzy na nieład i na matkę spoczywającą w ubraniu. Wyraz twarzy dziecka wskazuje zdziwienie i ciekawość. Taka jest treść

obrazu p. Swiedomskiego. Podpis rossyjski i nazwisko wskazywałyby, że autor jest rossjaninem; znajdowanie się jednak tego obrazu na wystawie krakowskiej budzi co do tego wątpliwości. Jak jest jednak, tak jest; nie ujmie to obrazowi rzeczywistej wartości. W całem malowaniu znać finezję artystyczną, pewność siebie i umiejętność wydobycia efektu środkami zwykłemi. Światło lampy, walczące z dobywającem się przez drzwi światłem poranku, zlewa się naturalnie i harmonijnie. Cały obraz w ogóle jest znakomicie malowany. Wykończenie szczegółów nie zabija postaci, czego tak trudno ustrzedz się wielu artystom. Proporcje zachowane, rysunek poprawny, myśl przeprowadzona bardzo szczęśliwie, zręcznie pochwycony wyraz twarzyczki dziecka tłomaczy co autor chciał wypowiedzieć. Perspektywa wyborna, ułożenie śpiącej „Kamelji“ pełne prawdy i wdzięku. Wyraźny wpływ francuzkiego malarstwa widoczny w całej technice artysty. Obraz to skończony, wystudjowany, a choć może treścią dla nas obcy, niemniej jednak zajmuje i ściąga uwagę.

Chlebowska: Martwa natura. O wybitnym talencie p. Chlebowskiej słyszeliśmy już oddawna, teraz jednak dopiero możemy go należycie ocenić. „Martwa natura“ dowodzi znakomitej techniki i panowania nad przedmiotem. Para dzikich kaczek, dzban miedziany, talerz turecki i parę innych drobnostek składają się na to studjum. Zaletą jego wielkie, prawie fotograficzne oddanie szczegółów, wykończenie smaczne, dobór kolorów, rysunek poprawny, całość utrzymana w jednym tonie. Kto tak maluje powinien sił swoich próbować na szerszem polu. Nie wątpimy, że talent p. Chlebowskiej pozwoli jej tworzyć dzieła sztuki wybitniejszego znaczenia, a nie poprzestanie na samych studjach, czem jest i zawsze być musi odtwarzanie samej martwej natury.

C. d. n.

Z TEATRU.

Pora ogórkowa! Sezon martwy!..

Sezon martwy w życiu towarzyskiem, sezon martwy w ruchu handlowym, w polityce wewnętrznej i zewnętrznej, a więc i w teatrze ta martwota odbić się musi, choć go galwanizują do ruchu rozmaitemi sztucznemi środkami...

Licząc na zwykły w tej porze przelot przez gród nasz ptaków ze starych dzielnic Polski, z pod zaboru rosyjskiego do miejsc kuracyjnych swojskich i nieswojskich, wystawiano w teatrze takie przeważnie rzeczy, ktorych ziomkowie nasi ani w Warszawie, ani na prowincji oglądać nie mogą, ale które dla nas, przesyconych mieszkańców Krakowa straciły już dawno urok nowości i siłę attrakcji. Dawano *„Gwiazdę Syberyi“* L. Starzeńskiego, *„Przeora Paulinów“* Juljana z Paradowa, *„Kościuszkę pod Racławicami“* Lassoty, *„Rewizora“* Gogola itd. O wszystkich tych przedstawieniach bardzo mało mielibyśmy do powiedzenia: większa ich część szła jako tako, ani źle ani dobrze, zwyczajnie jak w porze ogórkowej. Wyjątek tylko, niestety pod względem ujemnym, stanowiło przedstawienie *„Rewizora“* Gogola. Już to ten nieszczęśliwy *Rewizor* przedstawianym jest zawsze przez naszych artystów kulawo i koszlawo, ale tym razem przedstawiono go jeszcze gorzej niż zwykle. Nikt z naszych artystów niema najmniejszego pojęcia o typach, które chciał autor przedstawić. Dlatego też z postaci, które przy dobrej grze cechują jenjalność autora w każdem niemal słowie, robią karykatury dziwaczne, przypominające prędzej ludzi z fantastycznych podróży Guliwera niż świat rosyjski. A jakichże to strojów do tej sztuki garderoba dostarcza!.. Rosyjski Horodniczy (naczelnik policji miasteczkowej) ma na sobie jakieś resztki munduru polskiego oficera intendentury z przed roku 1830, doktor pocztmajster — szmaty z uniformu woźnych sądowych francuzkich, sędzia — mundur jakiegoś muszkietera saskiego, żołnierze policyjni moskiewscy z czwartego dziesiątka naszego stulecia — płaszcze współczesnych gemajnów austrjackich itd.

Oprócz sztuk powyżej wymienionych, wznowiono jeszcze w tym czasie komedję Mosera *„Wojna podczas pokoju“* i wystawiono nową sztukę oryginalną polską p. Adolfa Abrahamowicza *„Ciurkiewicz czy Dziurkiewicz.“*

O pierwszej z tych sztuk; niezbyt sympatycznej dla uczucia polskiego, bo będącej poniekąd apologją pruskiego militaryzmu, lecz napisanej dobrze i zbudowanej zręcznie, tyle tylko, jako o rzeczy znanej, czujemy się w obowiązku powiedzieć, o ile w kilku głównych rolach nowa w niej była obsada. I tak rola młodej węgierki Ilki, którą grała niegdyś panna Stachowiczówna, przypadła pannie Kałużyńskiej. Taka ulubienica krakowian, jaką była panna Stachowiczówna, zrobiła w tej roli kompletne *fiasco* i tož samo, albo prawie toż samo spotkało pannę Kałużyńską. Charakter Ilki jest namiętny, samowolny, ognisty i prędki, jak iskra, pomimo więc zrozumienia tego charakteru i zadawania sobie pracy, aby go odtworzyć, panna K. nie jest w stanie zmienić swej natury, zamiast więc energji wynika w grze jej efektacyja i wysiłek, co bardzo niemiłe sprawia na widzu wrażenie.

Rolę opiekuna Ilki, niemieckiego Bürgera bardzo charakterystycznie i typowo oddał p. Frenkel. Rolę zaś młodego aptekarza objął po Wojdałowiczu p. Siemaszko, na czem ona nic bynajmniej nie straciła, bo głupkowatość i niezgrabność tej postaci znalazła w tym młodym artyście wcale niepospolitego interpretatora, umiającego szukać komizmu po za pospolitemi ramami szarży.

Pozostaje nam jeszcze powiedzieć parę słów o sztuce p. Abrahamowicza, danej po raz pierwszy w zeszłą sobotę na benefis p. Szymańskiego, a powtórzonej we wtorek na dochód p. Sobiesława.

Temat sztuki śmiało mógłby się nadać do wcale poważnej komedji, ale p. A. nazwał swój utwór „fraszką,“ co zresztą uczynił słusznie, gdyż ów temat traktowany jest przezeń bardzo szkicowo i pobieżnie. Jest to mała satyra, która wyśmiewa z humorem panującą w naszej Galilei manią parowania lada miernostki na wielkość narodową i wyprawiania takim własnego chowu wielkościom hałaśliwych owacyj. W dość zgrabnie i nie bez talentu wysnutą z tego tematu całość, potrafił autor wpleść parę sylwetek świeżo z życia naszego schwyconych, mianowicie próżnego szlachcica Glińskiego (p. Szymański) i przebiegłego choć niby głupiego dorobkowicza Przedzierskiego (p. Frenkel) który umie się zawsze wydobyć na wierzch. Oba te typy odegrane były przewybornie. Inne postacie sztuki, acz dość liczne są podrzędnemi i służą do uwydatnienia tamtych, wyjąwszy dodatnią postać Ciurkiewicza, odtworzoną z werwą i swobodą przez p. Sobiesława, tudzież oklepanego typu starej romansowej panny Eulalji, którą to rolę gra bardzo dobrze i z wielkiem powodzeniem panna Borakowska.

Sztuka w ogóle szła gładko i żywo, w czem widać staranność dobrej reżyserji, dzięki czemu, jak również wcale dobrej obsadzie całości (jeden tylko p. Dorowski nie był na swojem miejscu), *„Ciurkiewicz czy Dziurkiewicz“* może pozostać stale w repertoarze, jako żywioł, który go urozmaici [1].

A. Z.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— „Słowo“ warszawskie drukuje epizod historyczny *Józefa Szujskiego:* „Parys hr. Saint Paul, ks. de Longueville, współzawodnik króla Michała.“

— Na konkursie dramatycznym krakowskim rozdzielono nagrodę 500 złr. na dwie mniejsze. Pierwszą (300 złr.) otrzymała praca p. t. „Odsiecz Wiednia“ pióra Wincentego Rapackiego, drugą: „Jan III. pod Wiedniem“ (200 złr.) pióra *Wład. Ludw. Anczyca.*

— Artykuł nasz w sprawie pomnika Mickiewicza przedrukowało lub podało w wyjątkach parę pism galicyjskich i kilka warszawskich. Opinja wydana przez „Koło literacko-artystyczne“ wraz z naszym artykułem wpłynęła tak dodatnio na dziennikarstwo warszawskie, że to dziś na całej linji występuje za rynkiem. Tylko „Słowo“ i „Tygodnik Illustrowany“ ratują honor niefortunnego projektu.

— „Kraszewski-więzień i Niemcy“ — taki jest tytuł nowej broszury *Stefana Buszczyńskiego.* Cena 30 c. Skład główny w księgarni K. Bartoszewicza.

— P. *Roman Zawiliński* wydał rozprawę: „Kwestja run słowiańskich ze stanowiska lingwistycznego.“

— „Pieśni polskie“ zbiorek patrjotycznych pieśni i poezyj najznakomitszych naszych pisarzy opuścił prassę nakładem księgarni K. Bartoszewicza. Wydanie eleganckie, miniaturowe. Cena 60 centów.

— *Edmund Chojecki* (Charles Edmond) napisał nową powieść: La bucheronne.

— „Prinz der Polacken“ — taki jest tytuł artykułu o *Francku,* zamieszczonego w „Hanauer Zeitung.“

[1]) Zostawiwszy swobodę oceny naszemu recenzentowi, musimy jednak zauważyć, że według nas „Ciurkiewicz“ jest lichą farsą, znośną jeszcze jako tako w akcie 3cim przez ruch na scenie i orkiestrę za sceną.

Redakcya.

Do tego Nru dołącza się rysunek Hipolita Lipińskiego: Widok na Zwierzyniec (szkic do obrazu).



WIDOK NA ZWIERZYNIEC.

Szkic do obrazu H. Lipińskiego.